

Cała moja rodzina ,zarówno ze strony Mamy jak i Ojca mieszkała z dziada pradziada na Kresach Wschodnich .Ojciec mój Piotr Załoga-Błażejewicz posiadał folwark Hajewo w powiecie wołkowyskim o powierzchni ok.70 ha ziemi ornej i 190 ha lasu. Jeszcze przed pierwszą wojną światową ukończył studia /Lesoteczniczeskij Institut/ w Petersburgu i odbył praktykę rolniczo-leśną w Estonii.Miał ochotę nawet pozostać tam na stałe,ale dziadek życzył sobie ,aby syn wrócił do domu i ojciec powrócił.W roku 1912 ożenił się z moją Mamą Bronisławą z domu Popławską.Rodzice mieli sześcioro dzieci ,z których czworo dożyło 1939 roku.Najstarszy brat miał wówczas 24 lata i kończył studia medyczne na uniwersytecie im.Stefana Batorego w Wilnie,drugi brat uczył się w Szkole Podchorążych Marynarki wojennej na Wybrzeżu,siostra uczyła się w Gimnazjum im.Stefana Batorego w Wołkowysku ,a ja byłam w czwartej klasie szkoły powszechnej również w Wołkowysku.Na wakacje wszyscy zjeżdżaliśmy się do Hajewa.

Moja mama pochodziła z bardzo licznej i zamożnej rodziny. Rodzice mojej mamy posiadali majątek Janopol koło Międzyrzecza k/Zelwy i połowę majątku Żupliki -posag babci - również w powiecie wołkowyskim-w sumie około 500 dziesięcin.

Babcia ze strony mamy była córką sędziego Pietraszewskiego i Róży z Rapcewiczów.Pietraszewscy posiadali majątek Żupliki,który podzielili między swoje dwie córki Zofię i Walerię.Zofia wyszła za Ignacego Wiercińskiego właściciela majątku Jurgowo, Waleria -za Kazimierza Popławskiego właściciela majątku Janopol, któremu wniosła w wianie połowę Żuplik.

Zofia i Ignacy Wiercińscy mieli pięcioro dzieci,z których przed wojną żyło czworo:Ignacy,Mieczysław, Maria i Helena.Waleria i Kazimierz Popławscy-moi dziadkowie mieli czternaścioro dzieci, z których przed wojną żyło siedmioro.

Piszę tak szczegółowo o wszystkich członkach rodziny, ponieważ w czasie drugiej wojny światowej wszyscy oni byli represjonowani przez władze sowieckie,o ile znajdowali się na terenach zajętych przez Sowiety.

A oto rodzeństwo mojej mamy:

- Brat Mieczysław Popławski ukończył studia agronomiczne w Warszawie,wielki społecznik ,socjalista z przeżonań ,był starym kawalerem ,zarządzał majątkiem Janopol,
- Brat Jan Popławski -ukończył studia politechniczne w Moskwie przed pierwszą wojną światową.Pracował jako naczelnik kolei w Tomsku,gdzie ożenił się z córką zesłańca z 1963 r. Zofią

✓

Zieleniewską, z którą miał trzy córki. Przez drugą wojnę światową mieszkał w Wołkowysku, był już na emeryturze.

- Siostra Maria - wykształcenie średnie, wyszła za mąż za <sup>Kazimierza</sup> Poczobuta-Odlanickiego właściciela majątku Żarnówka koło Izabelina pow. wołkowyski, posiadali czworo dzieci Adama, Ludwika, Zygmunta i Wandę
- siostra Róża - wykształcenie średnie, wyszła za mąż za Aleksandra Chołackiewicza właściciela majątku Klepacze - mieli troje dzieci - Emilię, Mieczysława i Jadwigę. /Wszystkie córki Popławskich miały średnie wykształcenie/
- siostra Stanisława - wyszła za mąż za Jana Józefowicza z Mizgier koło Różany - mieli trzy córki - Wandę, Janinę i Antoninę,
- siostra Antonina - wyszła za mąż za Brata Jana Józefowicza, Januarego Bolesława Józefowicza leśniczego w lasach księcia Golicyna w Permie. Mieli oni czworo dzieci : Bohdana, Wiesława, Irenę i Halinę.
- siostra Jadwiga wyszła za mąż za Józefa Szostakowskiego, który zamieszkał w Janopolu, pomagając w zarządzaniu gospodarstwem. Mieli oni jednego syna Ignacego.
- siostra Julia wyszła za mąż za Romana Wiśniewskiego - zarządzającego dobrami Radziwiłła w lieświeżu. Dzieci : Konstanty, Halina i Waleria.
- Moja mama Bronisława Popławska wyszła za mąż za Piotra Załogę-Ełżejewicza, jak już podałam na wstępie.

Wszystkie wyżej wspomniane majątki posiadały wygodne, duże domy, były dobrze zagospodarowane, wszystkie otoczone dużymi, zadbanymi sadami, tonące w kwiatach. Były one oazami spokoju i piękna. Wszystkie one zostały zmiecione z powierzchni ziemi, lub bardzo zniszczone przez władze sowieckie.

Hajewo, posiadłość moich rodziców leżała na uboczu, w odległości 3-ch kilometrów od szosy Wołkowysk - Różana i jednego kilometra od wsi Truńce. Dom był duży parterowy, otoczony kilkuhektarowym sadem. Do domu od drogi publicznej prowadziła aleja kasztanowo-lipowa. Cała posiadłość była obsadzona lipami bardzo starymi. Podwórze było oddzielone od ogrodu rzędem starych drzew. Przed domem przez cały rok kwitły kwiaty na rozległych klombach. Alejki w ogrodzie były gracowane, rzędami ciągnęły się krzewy porzeczek, malin. Szparagi i truskawki były hodowane na własny użytek. Ogromne zabudowania gospodarcze, obory, stodoła, magazyn na zboże znajdowały się po przeciwnej stronie dużego dziedzińca ze stodnią pośrodku.

W sierpniu 1939 roku moi obaj bracia byli zmobilizowani i braki udział w wojnie. Obaj trafili do niewoli niemieckiej po bitwie pod Kockiem. Rodziciele i ja z siostrą mieszkaliśmy w czasie wojny nadal w Hajewie.

Siedemnasty września spadł na nas jak grom. Nikt nie spodziewał się takiego ciosu w plecy. W wielu wsiach zaczęło wrzeć. Przed wojną na naszych terenach była prowadzona bardzo aktywnie agitacja komunistyczna. Wiele wsi, szczególnie prawosławnych było podatnych na tę propagandę i teraz w tych wsiach zostały utworzone oddziały tzw. "hurtków", które wspomagane przez dywersję sowiecką, swoje "rządy" rozpoczęli od zabójstw i aresztowań właścicieli majątków ziemskich i od rozgrabiania ich mienia. O ile mi wiadomo, w każdym bądź razie w pobliskich wsiach, ani jedna katolicka wieś nie ruszyła do grabienia swoich sąsiadów - ziemian.

Pewnego dnia i do nas przyszło kilku takich "działaczy" ze wsi Koniuchy z karabinami i czerwonymi opaskami na rękawach. Wieś ta, jeszcze przed wojną, była uważana za komunistyczną i gdy tylko wojska sowieckie wkroczyły do Polski natychmiast utworzyła się tam grupa operacyjna do walki z "panami".

Chłopi aresztowali mego ojca i zabrali go ze sobą. Byliśmy przekonane, że nie zobaczymy go już więcej, gdyż słyszeliśmy, że wielu ziemian rozstrzelano i pomordowano, niektórych nawet na progu własnego domu. Modliłyśmy się gorąco o jego szczęśliwy powrót. I rzeczywiście rano następnego dnia ojciec wrócił żywy i cały. Okazało się, że ojca poszturchując zaprowadzono do takiego tymczasowego komisarza, który powinien był ojca przebadać i odesłać do więzienia. Jak się okazało był to "kum" ojca. To znaczy, że mój ojciec trzymał do chrztu w cerkwi jego córkę. Ojciec mój jako geodeta miał stały kontakt z ludem na kresach, zarówno z Polakami jak i z Białorusinami. Przeprowadzając z ramienia rządu komasacje i parcelacje gruntów przemierzył nogami prawie całe Podlasie i Polesie, a będąc przy tym bardzo towarzyski uczestniczył w wielu uroczystościach wiejskich, gdy w danej miejscowości wykonywał swój zawód. A że był człowiekiem życzliwym ludziom, cieszył się sympatią chłopów i często był proszony na ojca chrzestnego dzieci wiejskich zarówno katolickich jak i prawosławnych. Możliwe też, że wchodziły tu w grę prezenty, które winien był ofiarować swoich chrześniakom, co w naszych raczej biednych wsiach kresowych też zapewne nie było bez znaczenia.

Więc, gdy mego ojca przyprowadzono przed oblicze komisarza, ten ryknął na swoich podwładnych, jak śmieli aresztować takiego porządnego człowieka, jakim jest "geometra" /bo tak nazywali wtedy ojca tam/ do tego jeszcze jego kuma i zabrał ojca do siebie na kolację i nocleg, gdyż za szczęśliwy powrót w nocy nie można było ręczyć.

Nasz spokój nie trwał jednak długo. Któregoś dnia na naszym podwórzu zjawili się kilkanaście furmanek chłopskich z odległej o osiem kilometrów wsi Dębrosielce. Na każdym wozie siedziało kilka bab. Przyjechali, aby podzielić między siebie nasze mienie, a także wykopać nasze ziemniaki. Widocznie z pobliskimi "panami" zrobili już "porządek", a apetyt rośnie w miarę jedzenia.

Agitacja sowiecka przed wojną miała doskonały atut do przeciągnięcia chłopów na swoją stronę obiecując im, że władza sowiecka przekaze chłopom wszystkie majątki i dobra materialne właścicieli ziemskich. A więc nasi nieproszeni goście aresztowali ojca i zaczęli się rozglądać, co by tu w pierwszej kolejności zabrać. Ponieważ każdy z nich chciał wziąć jaknajwięcej, więc zaczęli się wzajemnie pilnować i postanowili utworzyć jakąś komisję do dzielenia dóbr materialnych. Narazie kobiety, które przyjechały na furmankach zaczęły kopanie kartofli.

Ojciec znając ustawodawstwo sowieckie, które oficjalnie ceniło inteligencję pracującą, do której ich zdaniem należał ojciec jako geodeta, wiedział, że dobra zakupione za własną pracę nie podlegają rekwizycji, a ponieważ część ziemi rzeczywiście zakupił jeszcze przed pierwszą wojną światową, postanowił spróbować szczęścia. Korzystając z nieuwagi pilnujących go, wymknął się z domu, siadł na rower i pojechał do Wołkowyska, gdzie już zaczynała urzędować władza sowiecka. Nasi opiekunowie nie przejmowali się zbyt ucieczką, jak twierdzili, ojca, ponieważ mieli w ręku nas i nasze mienie, na którym im najbardziej zależało. Nawet nie odnosili się do nas zbyt wrogo, kazali tylko smażyć sobie naleśniki i jedli je z konfiturami, które stały w dużym słoju w kredensie.

Z niepokojem oczekiwaliśmy powrotu ojca. Na drugi dzień po wyjeździe ojca przed nasz dom zajechał wojskowy łazik, z którego wysiadł oficer sowiecki i nasz ojciec wraz z rowerem. Jak się okazało, ojciec znając doskonale język rosyjski dotarł do jakiegoś wojskowego i przekonał go o słuszności swojej sprawy. Oficer zebrał wszystkich chłopów przed domem, powiedział im, że ich postępowanie jest bezprawne i kazał im wszystkim opuścić nasz dom, po oddaniu zagrabionego mienia. Zabronił nawet zabrać wykopane już przez kobiety ziemniaki, ale ojciec zgodził się na zabranie takiej ilości, jaka należałaby się im gdyby kopały kartofle za wynagrodzenie w naturze. Chłopom nie pozostawało nic innego jak odjechać. To na krótki okres czasu uspokoiło nas, ale wiedzieliśmy, że nie będzie spokoju. Rząd sowiecki wprowadzał już swoje porządki. Teraz już nie chłopom, ale NKWD aresztowało ludzi, którzy byli podejrzani. Polacy byli traktowani jak wrogowie. Wszyscy czuli się zagrożeni. Zostały nałożone wysokie podatki. Wyłapywano polskich oficerów.

Więzienia były przepełnione. Wystarczył donos jakiegoś wroga, aby człowiek znalazł się za kratami. Warunki w więzieniach były okropne. Ciasnota straszna i marne wyżywienie. Nasz znajomy Jan Szyrajew, właściciel klucza majątków Niziany, Kobylaki, Uleży którymi zarządzali jego bracia Wacław i Jerzy, opowiadał później, że siedział w więzieniu z adwokatem, który przed wojną znany był z ogromnej tuszy. Po kilku miesiącach więzienia ten pan, aby ~~wła~~ mógł włożyć spodnie musiał wpierw zawinąć skórę na brzuchu tak jak płaszcz, gdyż po schudnięciu skóra obwisła. Nie wiem, czy wyszedł on z więzienia.

Rodziciele chcieli, abyśmy z siostrą uczyły się nadal w Wołkowysku i wysłali nas na tak zwaną stancję. Szkoły były jeszcze polskie, uczyli w nich Polacy, ale coraz to ktoś z nich ubywał i nie wiadomo było ~~gdzie~~ <sup>gdzie</sup> się podział. W szkole było bardzo smutno. Z nauczycielami łączyła nas przyjaźń i duch oporu przeciw najeźdźcom. Pamiętam piosenkę, jakiej nas nauczyła pani Jackowska w szkole. Piosenka była o zimie, ale my wszyscy wiedzieliśmy, że tu chodzi o inną zimę. Oto słowa tej piosenki:

Zaszumiał mroźny wiatr  
na serca lęk już padł  
Stracony leci liść  
Tak smutno, gdzie nam iść ?

Któregoś jesienno-wieczoru przyszedł do nas znajomy ojca pan Piotr Krahelski. Był on oficerem rezerwy, został zmobilizowany i po wejściu Sowieców, gdy nie było już nadziei na celowy opór żołnierzy, puszczono do domów. Pan Krahelski wracając do swego majątku dowiedział się, że dwór jego jest rozgrabiony a żona z córeczkami mieszka w komórce w jego domu. Ostrzeżono go, żeby nie pokazywał się we dworze, gdzie mogli go aresztować lub nawet zabić. Udało mu się pokryjomu spotkać się z żoną, potem zaszedł do nas aby przebrać się, gdyż miał na sobie jeszcze ubranie oficerskie. Poprosił też ojca, aby zaopiekował się jego rodziną, gdyż sam postanowił przedostać się przez "zieloną granicę" do Warszawy, gdzie mieszkali jego bracia. *Niestety został złapany w drodze przez NKWD, zamieszkał w Karkonoszach*

Bydąc w Wołkowysku zapoznałyśmy się z córeczkami państwa Krahelskich. Były one mnie więcej w naszym wieku i również uczyły się w szkole. Nauka nasza nie trwała długo. W lutym nastąpiły pierwsze masowe wywozy. Wywożono urzędników państwowych, osadników, rodziny oficerów WP, policjantów, a raczej ich rodziny, gdyż policjanci byli aresztowani w pierwszej kolejności. Wyjątkowo mroźna zima powiększała jeszcze niedolę wywożonych. Były przypadki, gdy rodzice nie mając w co ubrać dzieci, owijali je w kołdry i tak wieziono je w saniach do pociągu. I natychmiast po wywozie przyszły wieści